№ 24.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Naglowic.

ROK 1847. Poznań, dnia 29. Listopada.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Czarny krzyż.

POWIEŚĆ.

(Dokończenie.)

Nie wiele pewnie rozumiały zagrodowe głowy uczonego kazania Kosterniaka, lecz szło o ubliżenie estymie szlacheckiéj, to dosyć. A kiedy im opowiedział Jędrzéj już po polsku historyę biednego Jana, zerwali się wszyscy ze wrzawą.

— Co to on myśli ten hardy panek? wasza krzywda, to nasza krzywda?... jego dziewka musi być żoną twego krewniaka!

Brzękły karabele i dom cały zadrżał od wrzawy.

Jędrzéj dziękował na wszystkie strony, a gdy się nieco uspokoiło, przemówił:

— Trzeba nam uczcić należycie dzień święty; dziś Boża Niedziela, ale jutro Mospanie, tylko świt, nauczymy tego Mazura, co to obrażać szlachtę krakowską.

— *Vivat* Kosterniak.

Posypały się krociami przycinki i wykrzyki, a dzban na nowo się napełnił raz drugi i trzeci — i znów był próżny.

III.

W dworcu rotmistrza nie ustawała ochota. Dziś właśnie była rocznica urodzin jego zmarłéj małżonki, a mąż strapiony jéj zgonem, chciał przynajmniéj uweselic się pamiątką narodzenia.

Kilku sąsiadów i kilka sąsiadek z córami i synami przybyli podzielać radość gospodarza; Jadwiga próżno wyglądała Jana; nie było go.

Niejedno młode oko mile spoczęło na urodném licu gospodyni, bo niejedno serce w miłéj tu przybyło nadziei. Nie wiedzieli, że nadzieja tak często zwodzi! Jadwiga ciągle była niespokojna, jednak nieśmiała się zapytać. Wczorajszy wieczór tkwił jéj w żywéj pamięci: jego szlachetny postępek, miłość tak żywa, głęboko się zaryły w jéj sercu i napełniły je miłem, roskosznem upojeniem.

Przy obiedzie znów siedział starościc obok Jadwigi, lecz próżno silił się na dowcipne słówka, Jadwiga była smutna.

Rotmistrz poglądał na córkę i marszczył czoło; szlachta przybyła różnych stopni i powierzchowności, z niechęcią poglądała na wytwornego kawalera, tak różnego od nich strojem i obyczajami. Młodzi, zawistni jego pierwszeństwa, milczeli; kobiety widząc niepogodę na czole gospodyni, nastroiły swe nosy na kwintę i cały obiad szedł wszystkim nie po myśli.

Dopiero kiedy oddaliły się kobiety, brzękły kielichy, rozpogodziły się oblicza i rozwiązały się skrępowane języki.

— Kiedy też waszmość, panie rotmistrzu — rzekł jeden — wyprawisz wesele swéj jedynaczce?.. nie ma co mówić, gładka dziewczyna, u nas też nie brak, zuchów chłopaków.

— Wczas o tém, panie stolniku, jeszcze młoda.

— Nikt nie stracił, że się pospieszył — dodał inny.

— Eh! czy tam kto zajrzy pod moją strzechę ubogą — i spojrzał ukradkiem na starościca.

— Wiecie też waszmość — mówił dalej rotmistrz — miałem dziwny przypadek: ten Jan, lichota, widzieliście go tutaj, dziś z rana prosił mię o rękę mojéj dziewki; żal mi go trochę, bo to dziarski chłopak, jednak moja córka wcale nie do jego zagrody.

Milczeli wszyscy — jeden tylko siwy wąsacz rzekł:

— Wiesz waszmość: nie zawsze te stadła szczęśliwe, gdzie dostatków i parentelli wyglądają. Poczciwe serce zagrodowe czasem lepsze, niż pański frak i szpada...

Spojrzeli na starościca, on się uśmiechał swym zwyczajem. Lecz stolnik chcąc nieco poprawić ostre wyrazy starego szlachcica, powiedział:

— Co tam turbujecie się o zięcia, z łaski Bożéj, to przyjdzie w swój czas... azatém zdrowie przyszłego męża waszéj dzieweczki!

Znów brzękły kielichy — wesołość wróciła.

Powoli zaszumiało w głowach, sypnęły się ze wszech stron dykteryjki, przycinki, żarty; potém serdeczne wylania, uściski, oświadczania, a w końcu zamieszanie, wrzawa i krzyki. Jeszcze krążyła koléj, któréj starościc umiał unikać, poczém wypadły puhary z bezsilnych dłoni i wszystko legło niby na pobojowisku.

Wtedy starościc, udający dotychczas całkiém upojonego, powstał, rzucił do koła wzrokiem iskrzącym, szyderczym, roześmiał się i wyszedł prosto do komnaty Jadwigi. Kobiety przybyłe dawno się już rozjechały, ciotka wyszła do ogrodu, Jadwiga była sama...

Po chwili na ganku przed domem ukazał się starościc — chwilkę jakiś gniew, złość, błyskały w oku, potém znów uśmiech szyderczy spoczął na ustach. Konie stały gotowe — pojechał. A za karetą stał pachołek rotmistrza, co ze swawoli tam wskoczył, i dumny ze swego dowcipu, śmiał się z zadowoleniem, a błache wypadki z pozoru wielkie czasem sprowadzają skutki.

IV.

Zgasł dzień — usnęła przyroda — była noc...

Czarne, nabrzmiałe chmury zaległy świat, zaćmiły księżyc i gwiazdy, wiatr świszczał przeraźliwie grobowym, długim poświstem, to niby jęk ostatni konającego, czasem cichy płacz dziecięcia, lub wściekły ryk huraganu. Dokoła ciemno, głucho, ponuro — straszna noc...

A ludzie? jedni spali spokojnie, do jutrzejszéj gotując się pracy; drudzy pędzili próżniackie chwile śród zgiełku zabaw miejskich; oni niewiedzieli o świecie.

Lecz pójdźcie ze mną do chaty Jana — on niespał, ani się bawił — bo w jego sercu nadto było goryczy, iżby mógł spocząć lub się cieszyć.

Czy wiecie wy co to jest zranić najdroższe uczucie człowieka, zniszczyć tę słodką wiarę u ludzi, obalić budowę najmilszych marzeń i nadziei? — to okropnie...

Każdy świst wiatru, co zatrząsł jego oknami, odbija się w duszy; wyobraźnia kazała mu słyszeć raz śmiech wesoły jego kochanki, znów jęk boleści, płacz, wzywanie ratunku. To widział ją rzucającą się w objęcia starościca, to odpychającą go ze wstrętem; widział ją przy sobie, obok siebie, i znowu jéj nie było. A ciągle stał mu w oczach szyderczy uśmiech kawalera, szatański, jadowity wzrok, czyhający na zgubę nieszczęśliwéj. Jan drżał — nie z bojaźni, ta była mu obcą: lecz te dziwne widziadła, myśli, przeczucia, dreszczem go przejmowały.

Powoli burza uspokoiła się, wiatr ustał i z za siwych obłoków błysnął świt.

Jan wychylił głowę oknem i z wielkiém podziwieniem, ujrzał przy wrotach swego mieszkania gromadę szlachty zagrodowéj i to jeszcze w zupełném uzbrojeniu, niby na Tatara lub Turka. Po chwili weszli z Jędrzejem do izby.

— Zabieraj się waszmość prędzéj — wykrzyknął Jędrzéj — weźm tę demeszkę, co to jeszcze świętéj pamięci rodzic waszmości rąbał nią pogańskie czerepy, niech się opłucze ze rdzy, bo ją gryzie od dawna.

Na świętą Pannę, kędyżto nieprzyjaciel? — pytał Jan żywo.

— Nieprzyjacielem jest każdy, który mospanie, ubliża estymie szlacheckiéj — odezwało się kilku.

— A ten niedaleko, dodał Jędrzéj.

— Ależ przez Boga żywego, nic nie rozumiem.

— Ot, ni mniéj, ni więcéj, jedziem waści po żonę.

Jan zdziwiony spojrzał na starego, bo niewiedział o niczém.

— Tak młodziku — mówił żywo stary — myślałeś, że szlachta zniesie krzywdę jednego z pomiędzy nas!... daléj w drogę, nauczymy rozumu hardego Mazura.

Jan smutnie zwiesił głowę — Jędrzéj zawołał:

— I cóż waszmość myślisz? tu nie przelewki, spiesz się, bo na cię czekać nie będziem.

— Ależ zastanówcie się, Jędrzeju!

— Co? może go ochraniać chcesz? a on ochraniał ciebie, gdy jak nieszlachcica prawie wypędził z domu? spiesz się.

— A czy ona będzie kochać męża, który ją wydrze ojcu?

— Eh! co waszmość prawisz — rzekł jeden — mięso bite, żona dobyta, zawsze lepsze.

Jan myślał chwilę, potém rzekł:

— Panowie! ja nie pójdę, ja niechcę.

— Co? — wykrzyknął Kosterniak — słyszycie go? wstydź się wyrodku! to my sami pójdziemy, ale pożegnaj się z Jadwigą! wszystko do góry nogami!

— Hurra! krzyknęli wszyscy i w mgnieniu oka zatętniała ziemia, od kopyt szlacheckich stepaków.

Jan, zostawszy sam, pomyślał: „stary poczciwa dusza, ale gorąca krew; gotów spełnić co wyrzekł i Bóg wie co z tego będzie“ — i w téj myśli przypasał demeszkę, siadł na kasztanka i ruszył w ślad.

— Namyślił się! — zawołał Kosterniak, widząc Jana pędzącego co żywo.

— Jędrzeju na miłość Boską, zgubicie mnie i siebie, mówił zdyszany.

Stary nieodrzekł i słowa.

Jędrzeju, to napaść widoczna, nie boicież się sprawy i sądów?

— Co? my się mamy bać! — krzyknął rozgniewany Kosterniak — a to mi zuch!... wiesz waszmość kto się boi? ot takie tchórze jak ty.

Tknięty do żywego Jan, spiął kasztanka i bez myśli pędził naprzód, a szlachta sunęła za nim.

Niedługo stanęli przed dworkiem rotmistrza. Lecz jakże zdziwili się znalazłszy bramę otwartą, wewnątrz nieład i zamięszanie.

— Może fortel, aby nas podejść, pomyślał Kosterniak, i zatrzymawszy wszystkich nieco opodal, sam postąpił naprzód.

W téj chwili ukazał się rotmistrz.

— Héj! mospanie! — krzyknął Kosterniak.

Rotmistrz nie ruszył się z miejsca.

— Słuchaj waszmość! — wołał znów stary — przyszliśmy po satysfakcyę za obelgę jakąś wyrządził naszemu bratu a memu krewniakowi.

— Moja córka! jęczał rotmistrz z żałością.

— Ha! zajęcze serce — mówił tamten z pogardą — drzysz, a niedawno śmiałeś urągać bezbronnemu! daléj zuchu! oddasz ją Janowi, albo...

— Czego chcecie? ja nie mam córki!

— Co? — krzyknął Jędrzéj — nie zwiedziesz nas, zgoda? albo... niech mi najświętsza Panna nie pamięta...

— Czegożem doczekał? moja Jadwiga! — jęczał rotmistrz bezsilnie.

— Bliżéj bracia! — krzyknął Jędrzéj — a ty Janie gdzież się kryjesz? spojrzyj w oczy temu Panu.

Rotmistrz nie mówił nic, tylko jęczał bez przytomności.

— Przetrząść dom cały, wszystkie kryjówki!... ruszaj Janie, to twoja rzecz!

W mgnieniu oka szlachta wpadła do dworku, w dobrym jednak porządku, lękając się zasadzki. Jędrzéj z pięcioma został.

— Janie! — woła rotmistrz — szukaj mojéj Jadwigi, mego dziecięcia.

— Gdzież ona? — zawołał Jan zdziwiony.

— Nie wiem.

— A starościc?

— Zniknął.

— Nie wierz mu! — wołał stary Jędrzéj — czy powiesz mospanie?

— Wierzcie łzom ojca! mówił z rospaczą stary wojak — wierzcie i ratujcie!.... biegnijcie, szukajcie!

W téj chwili pachołek rotmistrza wbiegł na podworzec.

— Czy niema? — wykrzyknął ojciec z ożywioną nadzieją.

— Kogo?

— Méj córki.

— Naszéj panienki? Najświętsza Panno Częstochowska! to ona tam w starych ruderach zamczyska.

— Dość tego było dla Jana, wskoczył na konia i pędem strzały poleciał ku zwaliskom.

— Mów jaśniéj — krzyknął Jędrzéj — albo ci język rozwiąże.

— Wczoraj, kiedy ten pan odjeżdżał, ja żartem usiadłem za kolasą i pojechałem wesoło. Po chwili wyglądam gdzie jedziemy, a tu Najświętsza Panno! prosto przed ruderę, zrobiłem znak krzyża i w mig już byłem na drodze. Prawdę powiem, w głowie troche było i strach reszty dokonał, jak padłem, tak nie wstałem. Aż ci budzi mię turkot, patrzę, ta sama kolasa, tu słyszę krzyk niby naszéj panienki. Porwałem się na nogi i oto.

— Na koń! — krzyknął Jędrzéj co siły — bo poczciwym sercom nie trzeba wiele namysłu, gdy cierpiący wzywa pomocy.

Rotmistrz padł na kamienną ławkę bezsilnie i jęczał. Zanieśli go domownicy do izby, bo wstać nie miał siły. Cała służba już dawno rozbiegła się szukać Jadwigi, prócz dwóch starych, co zostali przy osłabionym panu i omdlałéj ciotce.

Tymczasem Jan pędził co siły. Jego nocne widziadła, zdały mu się być szczerą prawdą, lecz okrutną, drzącą. Spinał kasztanka i pędził daléj.

— Stój! — krzyknął ktoś głosem silnym przy samych zwaliskach.

Jan poznał starościca.

— Ha! jesteś gadzino! — krzyknął zeskakując z konia.

— Ani kroku daléj!

— Oddaj Jadwigę zbrodniarzu!

Starościc śmiał się szyderczo.

— Odpowiadaj! — zawołał Jan wściekle i z dobytą szablą rzucił się na niego.

Sypnęły się razy z obu stron. Jan uderzał gwałtownie, przeciwnik z niechcenia odbijał cięcia.

— Nim zginiesz, — wołał Jan — powiedz gdzie ona?

— Nie ujrzysz jéj nigdy! — i znów się rozśmiał szyderczo.

Z większą gwałtownością brzękały żelaza, krew pryskała z obudwóch, lecz obaj się trzymali. Już ciosów zadanych lub odbitych nie dojrzałbyś, tylko oczy błyszczące obu zapastników świadczyły, iż jeden musi zginąć! Nareszcie padł . . .

— Ha! ciesz się zwycięzco, zabiłeś brata: — i rozśmiał się szyderczo, dziko.

Jan wzdrygnął się, — rozerwał kaftan poległego, a na piersiach błysnęło okrągłe czerwone znamię — był to . . . Paweł.

— Bratobójca! jęknął nieszczęśliwy i padł na skrwawionego trupa.

— Ratunku! — wołał w rospaczy: lecz cios był nadto silny, i tylko sine usta zastygły z wyrazem szatańskiego uśmiechu.

W téj chwili z pomiędzy zbutwiałych murów ukazywać się zaczęły zbójeckie postacie, a ujrzawszy zabitego Pawła, rzucili się w tę stronę, lecz i szlachta tuż nadbiegła.

— To zbójcy! — wykrzyknął jeden — znam ich po tych samych ubiorach.

Nie było czasu rozprawiać, obie strony uderzyły na siebie. Świsnęły kule, dym, huk i jęki. Potém brzękły pałasze, lecz zbójecka zgraja, zachwycona z nienacka i przestraszona śmiercią wodza, cofała się do kryjówek. Żwawo parli zagrodowcy. Niedługo kilkanaście trupów tarzało się w piasku, a zaciętość nie ustawała. Jednak między tłumem spostrzegłbyś łatwo Kosterniaka, jak gracko siekał demeszką czerepy zbrodniarzy.

Wtém rozległ się krzyk. Jan go dosłyszał i jęknął bezsilnie. Lecz usłyszał go i dzielny Kosterniak, wpadł do ruin, przebiega między sterczącémi głazów odłamy, wpada do jakiéjś izby.

— Giń za naszego wodza! — krzyknął ktoś wściekle, trzymając za włosy omdlałą-kobietę.

Chwilka — i brodaty zbójca bezsilnemi przewracał oczyma, zabójcze żelazo odleciało daleko, Jędrzéj ocierał zakrwawioną demeszkę.

W téj chwili wbiegł Jan.

* * *

— I cóż daléj? — pytałem

— A cóżby . . . rotmistrz przekonał się, iż szczęście nie mieszka w niemieckiéj fryzurze i oddał dank poczciwéj zagrodzie. Jan był szczęśliwym mężem, a stary Kosterniak pokręcał wąsa i tarł ręce z radości.

— A krzyż?

— Ach! prawda. Złoczyńców wytępiono do szczętu; stare zamczysko z ziemią zrównano i spokojność wróciła. Jan jednak długo widywał we śnie skrwawionego trupa brata i niszczał powoli. Poradzono mu postawić krzyż pański na jego mogile, i od tego czasu żył w pokoju w łasce u Boga i u ludzi.

* * *

Czas pędzi niezwrotną koleją; krzyż zczerniał, mchem zarósł; niedługo i téj pamiątki nie stanie, lecz w ustach krakowskiego ludu do późna przeżyje krwawa pamiątka. A lubo podanie nie dochowało imion, jednak hołd należny cnocie i hańba zbrodni, długo żyć będą w wiernéj pamięci! . . .

S. D.

Zamek krakowski

ROMANS HISTORYCZNY

przez

AUTORA PAMIĘTNIKÓW SOPLICY.

Komu tylko zdarzyło się jechać z Daszowa do Liniec, lub z Liniec do Daszowa, temu musi być pamiętną wieś nazwana Kalnik, położona na połowie drogi: gdyż niebyło przykładu, żeby pojazd lub wóz wjechawszy do téj wsi, niezatrzymał się przed karczmą na jéj środku stojącą. Jest to wieś obszerna; chałupy w niéj odznaczają się czystością i budową, ledwo że nie koło każdéj z nich jest sad, a gdzie niegdzie nawet pasieka. Kalnik słynie wesołością swoich parobków, pięknością swoich dzie-

wek, zalotnością swoich młodyc. To pewna, że Kalnik leży wśród okolicy, któréj płodność ledwo że nie wyrównywa téj szczęśliwéj ziemicy, którą Nil corocznie stłuszcza, że trzoda wiejska wypasiona na rżyskach kalnickich jest nierównie liczniejsza niżeli we wsiach sąsiednich, i że między siołami ukraińskiemi, odznacza się jakąś wyższością, która ujść niemoże uwagi wędrowca.

Wszakże Kalnik dziś już nie jest tém, czém był przed laty i jak każdy stary, wiele widział i wiele doświadczał. Na końcu XVI. wieku, był miastem bardzo handlowném i w łonie swojém mieścił kilka narodów i wyznań. Był monaster czernic, kilka cerkwi, zbór arianów, kirka ewangielicka, dwie bóżnice: jedna żydowska, druga karaimska; nawet kościołek ormiański. Prawie wszystkie te budowy były ceglane, pobielone i wcale przyzwoicie utrzymywane. Jeden tylko kościół wiary panującéj, pokryty pozieleniałemi gontami, odarty z tynku, z poza przezroczystego częstokołu wyglądał: nieborak zdawał się wstydzić swojego ubóstwa na widok tych przybyszów jakoby natrząsających się z pokory gospodarza. Był to jeden z najmniéj jeszcze złych skutków indygenatu nadanego w Polsce nowościom i zuchwalszym jeszcze wymysłom nowochrzczeńców, arianów, które niebaczna młodzież, wychowaniem zagranicznem zarażona, przywiozła do Rzeczypospolitéj, rozprzestrzeniała pomiędzy ludźmi łaknącymi za modą, a tém potrząsała prawa kardynalne narodu, pod rządem nadto łagodnych Jagiellończyków.

Kalnik w czasie wojen Jana Kazimierza dwa razy zrabowany: raz przez Szwedów, potém wkrótce przez Rakocego; nakoniec do szczętu zniszczony został przez Tatarów krymskich zjednoczonych z ukraińskiém chłopstwem zbuntowaném. Ujrzał swoje gmachy w popiół zamienione i prawie wszystkich swoich mieszkańców zabranych w jassyr. Od téj klęski już nigdy nie powstał. Na gruzach kwitnącego miasta osiedliła się wieś z przychodniów województwa czerniechowskiego Prawica czasu nawet szczątków dawnych murów nie szanowała. Zdarza się czasem, że jaki wieśniak ryjąc ziemię dla lochu warzywnego, lub dla wbicia słupów na stodołę, wykopuje jakieś naczynia bądź mosiężne, bądź miedziane, których użytku nierozumie; jakieś stare srebrne pieniądze, nawet białogłowskie ozdoby szczerozłote, co wszystko u arędarza wiejskiego przemienia się na trochę gorzałki. I kiedy potomkowie sług a nawet poddanych dawnych panów Ukrainy, wywłaszczywszy prawych jéj dziedziców, sami zostali jéj panami; Kalnik, niegdyś stolica wielkiego hrabstwa, dziś jest pokorną attynencyą wprzód nieznanego Daszowa.

Kalnik przechodził bądź spadkiem, bądź kupnem z rąk do rąk: należał do Koniecpolskich, Dolskich, Wiśniowieckich, Platerów, Potockich; ale w czasie kiedy to się działo co opowiadać zamyślam, hrabstwo Kalnickie było własnością potężnego domu Zborowskich. Ówczesny jego pan, był ów Marcin, kasztelan krakowski, głowa dyssydentów wyznania augsburgskiego, starzec dumny, chciwy władzy i bogactw dla swojego rodu i dla téj żądzy zawsze gotów wszystko poświęcić. Po wyjściu z lat dziecinnych, oddany przez swojego ojca do akademii krakowskiéj, oddał się najwyuzdańszéj rozpuście i zuchwalstwu bez granic, a potém został jednym z głównych naczelników tych uczniów, którzy opuścili ojczysty zakład nauk. Młody Marcin dostał się do Wittembergu i tam poddał z zapałem młodociany umysł pod naukę Lutra i Melanchtona. Gdy powrócił do Polski dla objęcia spadku po zmarłym dopiero ojcu, wkrótce został w Koronie naczelnikiem wyznawców augsburgskich jak Górka helweckich, i z tym ostatnim związawszy się małżeństwem z jego siostrą, tak groźnym pokazał się swojemu królowi, że ten dla zaskarbienia sobie jego przyjaźni, obsypał go urzędami i starostwami, aż nakoniec usadowił w najwyższém senatorskiém krześle. Starzec pyszny z rodu, urzędów i sławy rycerskiéj, a więcéj jeszcze z licznego potomstwa; bo miał ośmiu synów, po większéj części już zaszczyconych wysokiemi urzędy, i tyleż córek usadowionych zamężciem w najwyższych domach polskich; ale sił starganych w długim zawodzie w usługach królów i Rzeczypospolitéj, już się nieoddalał od swojego Zborowskiego zamku. Tam najznakomitsi dyssydenci nieprzestawali go nawiedzać, a on im swoich rad udzielał. Cieszył się, iż jego synowie odwagą i światłem ściągali ku sobie uwagę narodu, tak jak jego córki słynęły powszechnie pięknością i dowcipem. I żył sobie w ojczystym zamku; a inne jego dobra, były powierzone gubernatorom ze szlachty ubogiéj ale karmazynowéj, a zasłużonéj jego domowi.

Gubernator Kalnickiego zamku i hrabstwa nazywał się Zdora; był to syn starożytnego choć ubogiego szlachcica z ziemi Trembowelskiéj, który umarł w usługach dworu Zborowskich. Syn jego służył za chłopca u Pana Marcina kiedy ten jeszcze chodził do Akademii Krakowskiéj i towarzyszył Panu swojemu w jego podróży do Wittembergu. Nieodstępny sługa, bez wahania przejął się jego zdaniami re-

ligijnemi, bądź jako prawdziwy klient, oddający siebie z duszą i ciałem swojemu patronowi, bądź z rzeczywistego pociągu. Bo zaprzeczyć nie można, że nowa nauka uwalniała poniekąd od uczynków nieco trudnych do spełnienia. Koniec końców, po powrocie Pana Marcina, Pan Zdora wielce mu został pomocnym w rozkrzewianiu pomiędzy szlachtą niemieckiego wyznania, i w prześladowaniu katolickiego duchowieństwa żyjącego na jego ziemi. Pan Marcin ożenił go z jedną ze swich nałożnic, a po śmierci Gubernatora Kalnickiego, który, jak to dawniéj bywało, siebie nie wzbogacił zarządem czterdziesto-letnim tak znacznych dóbr, jemu powierzył rządy Hrabstwa Kalnickiego z nieograniczoną władzą nad poddanemi.

Pan Zdora najskrupulatniéj przeniósł do służebnictwa swojego zasady czerpane z Teologii Wittembergskiéj. Pod nieba wynosił swojego Pana, dwa razy na miesiąc posyłał do Zborowa kozaka z raportem przy którym nieomieszkiwał dołączać list napełniony panegirykami dla największego i najmędrszego senatora całéj Rzeczypospolitéj. Na rocznicę jego urodzin sam przyjeżdżał do Zborowa, przy winszowaniu uroczystości padał mu do nóg jak długi — rzecz wtedy niesłychana w służebnictwie szlacheckiém; ale to czynił nie przez zbytnią uniżoność, ale przez jakiś entuzyazm niczém nieumiarkowany, a pobudzony widokiem jego obliczów, przypominających mu wszystkie jego cnoty i zasługi, Pan Krakowski to wszystko brał za gotowe, i wywzajemniał się jemu nieograniczoną ufnością; a Pan Zdora służąc Panu, o sobie nie zapominał; a niemając innego celu jak tylko spanoszyć siebie, po trzydziesto-letniéj administracyi Kalnika, zawsze się kurcząc, zawsze siebie mianując chudym pachołkiem, już tyle miał na stronie gotówki, że jeżeli dotąd nienabył dla siebie szerokiego dziedzictwa, to jedynie z obawy, żeby Panu Krakowskiemu nie przyszło na myśl wejść w to — a zkąd do tych dóbr przyszedł? a potém puścić na niego swoich synów, znanych po większéj części za paniczów najzuchwalszych i najgwałtowniejszych w całéj Rzeczypospolitéj. I nieraz z połowicą swoją suszył sobie głowę nad tém: jakby to po najdłuższém życiu Pana Krakowskiego, jakoś gładko skończyć z jego spadkobiercami, i wynieść się z pieniędzmi w jakąś stronę oddaloną; bo dość był przyjął z wychowania zagranicznego, żeby być przekonanym, że kto ma pieniądze, temu wszędzie dobrze.

Zaprzeczyć niemożna, że Pan Zdora z wielką zręcznością wzbogacał siebie zachowując stateczną łaskę swojego Pana. Obowiązywał go tém, że mu corocznie więcéj dosyłał grosiwa niż ten po którym zajął posadę. Prawda, że za jego poprzednika chłopstwo żyło w dostatkach, zamki Kalnickie i Kopyczynieckie były w stanie obronnym, że ledwo mysz przez ostrokoły przedrzeć się mogła. Szlachta służbą wojskową w zamkach opłacała grunta co je uprawiała z łaski domu Zborowskich, utrzymywano ogromne myślistwo, ową szkołę strzelców i jazdy, mogącą być obróconą w potrzebie na korzyść Rzeczypospolitéj. A za Pana Zdory chłopstwo było uciśnione, szlachta zaczynszowana, strzelce w okład pańszczyzny wpisani, zamki wiatrami ogrodzone. Nawet poznawszy że Pan Krakowski, jak to zwykle bywa w podeszłym wieku, nabywał coraz więcéj przywiązania do gotowych pieniędzy, zdołał w niego wmówić, że zamiast tak wielkich wydatków na utrzymanie zamków, lepiéj połowę tych wydatków obrócić na zaspokojenie Tatarów i Niżowców, a tym sposobem dobra będą bezpieczne, a Panu przybędzie brzęczączki. I to co Pan i sługa w Polsce wychodowany miałby za zgrozę pomyśleć, że godzi się pokój okupywać pieniędzmi, pierwszy Senator, sam kiedyś dzielny wojownik, na to zezwolił.

Każdy ma swojego gryzącego mola, miał go i Pan Zdora w osobie syna — Pana Ezechiela, który mu nieraz stawał kością w gardle, a którego jako jedynaka namiętnie miłował. Był to chłopiec nie złego serca, i nie małych zdolności, ale miał w sobie rozwiniętą wrodzoną burzliwość Polską, nawet w stosunkach swoich z rodzicami, bo tu nie miał téj przeciwwagi która u innych wzniecaną bywa wychowaniem katolickiém. Po innych domach szlacheckich, młodzieniec jakkolwiek zuchwały, drzał na widok swoich rodziców, wszystko, nawet chłostę, bez szemrania ich rozkazu odbierał, i ani pomyślić się odważył, by w ich postanowieniu o sobie w czémkolwiek się sprzeciwić, ale po rodzinach dyssydenckich wychowanie na innych zasadach przyjęte, obaliło było tę patryarchalność w stosunkach ojca z synem, pana ze sługą. Pan Marcin Zborowski wkrótce po swoim powrocie do kraju, założył był w Zborowie szkołę. Mistrzów dla niéj sprowadził z Niemiec, w celu by ta szkoła dostarczała Pastorów i Ministrów obywatelom wyznania Augsburgskiego. Wszakże pomimo nakładów i starań ten zakład jego widokom nieodpowiedział. Młodzieniec w niéj wyćwiczony, nawykły wszystko wyrozumować, a nie kierowany łaską i duchem pokory jak po seminaryach katolickich, gdy kończył swoje wychowanie, rzadko kiedy dawał siebie nakłonić do bakalarstwa katedrowego, i przekładał zabawy rycerskie, odpowiedniejsze przy-

rodzeniu polskiemu. I kiedy seminarya i nowicyaty katolickie mnożyły w Koronie i Litwie kapłanów i zakonników; pastorów i ministrów, trzeba było jak wprzódy sprowadzać z Niemiec.

Pan Ezechiel był oddany do szkoły Zborowskiéj: kres życzeń jego ojca, było go widzieć ożenionym i pastorem; ale po kilkuletnim szkolnym zawodzie, młodzieniec uciekł ze szkół, przenosząc nad wszystkie zarzuty teologii, giermkowstwo przy Panu Hieronimie Ossolińskim, zięciu Pana Krakowskiego, ale gorliwym katoliku, który był rad przyczynić się do wyrwania młodego szlachcica z téj szkoły. Pan Ezechiel towarzyszył swojemu nowemu panu w nieszczęśliwéj wyprawie Połockiéj, gdzie swoją dzielnością ściągnął jego uwagę tak dalece, że został jego ręką passowany na rycerza, i otrzymał stopień nadliczbowego towarzysza w jego chorągwi. Kto inny na jego miejscu byłby się wysoko pokierował, ale po skończeniu wojny służba u dworu, niedawała się pogodzić z zuchwalstwem jego przyrodzenia. Będąc dworzaninem, nietylko że ulegać nie chciał sędziwemu Marszałkowi dworu Pana Ossolińskiego, Kasztelana Sandomirskiego, ale tak mu dokuczył krnąbrnością swoją, że został oddalonym. Udał się więc do Zborowa, jako do protektorskiego gniazda, niezawiódł się w nadziejach swoich. Pan Krakowski łaskawie przyjął syna zachowanego sługi, i kazał mu zostać przy dworze swoim, a że bardzo zgrabnie tańcował, został wkrótce niezbędną figurą wszystkich kadrylów zamku. Ale na nieszczęście zaczął się zalecać do Panny Krakowskiéj Krystyny, już obiecanéj Panu Chodkiewiczowi, Kasztelanowi Wileńskiemu, i to tak widocznie, że się to nieukryło przed Jaśnie Oświeconym ojcem. Ta zuchwałość przechodziła wyobrażenie jakie miał o wolności ewanielickiéj. Wszakże żadnéj gwałtowności się niedopuścił; kazał tylko żeby we dwudziestu czterech godzinach oczyścił zamek Zborowski, i nigdy doń niewracał. Rad nierad Pan Ezechiel musiał się udać pod skrzydła rodzicielskie, a P. Gubernator luboć o wszystkiém wiedział, od siebie go nieodepchnął. Tak mieszkał od półtora roku golizną swoją przykuty do ściany rodzinnéj. Ojcu pomimo ustawicznych nalegań pomagać nie chciał w gospodarstwie, nieznajdował towarzystwa odpowiedniego swojemu sposobowi myślenia, i gdyby miał o czém, niezawodnie opuściłby Kalnik natychmiast, bo w nim się nudził śmiertelnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

— Obliczenie statystyczne. Na jednym balu w Londynie pewien Anglik ustawił swego służącego w przedpokoju, ażeby przez minutę policzył wchodzących panów i uważał co robią. Z trzydziestu weszło, co dwudziestu dziewięciu przed drzwiami poprawiało sobie włosy na głowie.

— W pewném mieście angielskiém stanęła przed sądem jedna kobieta, którą mąż oskarżył, iż mu nogę drewnianą przedała.

— Nowy użytek z daguerotypowania. Znany architekt Brunel w Londynie podjął się rozmaitych wielkich budowli przy kolei żelaznéj z Florencyi do Pistoi, tymczasem z Londynu nie wyjeżdża, i tylko mu przesyłają daguerotypowane widoki części ukończonych robót, z których widzi, jak roboty zostały wykonane i czyni nad niemi uwagi.

— Przed niedawnym czasem umarł król cyganów w Anglii, a teraz donoszą gazety o namaszczeniu nowego następcy, który się nazywa Karólem Blythe. Muzyka przytém grała znany śpiew God save the King, a licznie zgromadzeni cyganie okrzyk wydawali: niech żyje Karól I.! Wiele tam napił król z poddanymi swymi gorzałki, wsiadł następnie na konia, masztalerz zaś jego na osła, a lud pieszo pośpieszył za nimi aż do miejsca zwanego Stopstone. Tu król zsiadł z konia i zajął miejsce na kamieniu. Zamiast gronostajowego płaszcza zawieszono na jego plecach zajęczą skórkę i namaszczono mu głowę nie poświęcanym olejem, ale wódką. Po téj ceremonii powrócili wszyscy do wioski, z któréj wyszli, a magnaci państwa cygańskiego udali się do gościnca na śniadanie, podczas którego muzyka grała: witamy cię królu Karólu! Jego cygańska Mość przemówił nareszcie do zgromadzonych i zaręczał, że starać się będzie o szczęście swoich poddanych i niepozwoli pogwałcić ich praw starodawnych.

— O teatrze San Carlo w Neapolu opowiada pewien podróżny co następuje: Kiedy król po zwycięztwie pod Velletri uczuł się bezpiecznym na tronie obu Sycylii, rozkazał obok wielu innych przepysznych gmachów i teatr wystawić, któryby był największy i najpiękniejszy w świecie. Medrano zrobił rys, a architekt Angelo Carsale go wykonał. Carsale był to człowiek z niskiego stanu, ale jeniusz który się odznaczył już dawniéj wielkiemi budowlami. Wybrał miejsce na teatr obok pałacu królewskiego, mnóstwo domów kazał rozebrać i przyłączył jeszcze wielki plac, aby w tym teatrze można

było przedstawiać wielkie bitwy i uroczystości. Od Marca do Października w r. 1737. ukończono tę niezmierną budowę, a 4. Listopada pierwsze dano przedstawienie. Król Karól oniemiał z radości na widok morza, światła i przepychu w tym teatrze, lubo jako Hiszpan do wystawności był przyzwyczajony. Podziękował i uściskał publicznie architekta. Jedno tylko zapomniałeś w téj budowie, rzekł król, niepołączyłeś galeryą mego pałacu z teatrem. Zaledwie atoli sztuka się skończyła, już wracał po upływie trzech godzin zdziwiony król nową galeryą z teatru do pałacu, wyłożoną zwierciadłami i kobiercami. Tak trzy godziny wystarczyły, podczas których odgrywano sztukę, do przebicia grubych murów w teatrze, do połączenia zapomocą wschodów, mostów wiszących i galeryi pałacu z teatrem. Odtąd był Carsale ulubieńcem króla. Zawiść przecie dworaków obudziła nieufność w królu, oskarzono go o oszustwo przy budowaniu, a lubo pospieszył do króla i błagał o opiekę, wystawiając mu życie swe nieposzlakowane i ubóstwo, niczego niedokazał, wtrącono go do więzienia w San Elmo i tam nędzne zakończył życie. Jego rodzina z biedy rozproszyła się po świecie, tak, że po nim niebyłoby śladu, gdyby pomnik architektury, który pozostawił, nie przypominał jego jeniuszu i jego nieszczęścia.

MODY.

Paryż, dnia 28. Listopada 1847.

Czarny aksamit najbardziéj się teraz podoba i zasługuje przed innemi dla tego na pierwszeństwo, że do każdego koloru ubioru może być wzięty, ale i inne aksamity podobają się, np. brązowe, zielone i niebieskie.

Podczas teraźniejszéj zimy prawie wyłącznie noszą aksamitne płaszcze.

Tkaniny na negliże o téj porze używane, są następujące: merynosy i popeliny kraciaste, walencja w kratki atłasowe i sukna. O drukowanych wełnomuślinach ani mówią.

Na wizyty przeznaczają repsy damaskowane we wzory nakształt płaskorzeźby, atłasy w kratki, lewantyny i przerabiane atłasy.

Na wytworniejsze wzięcie są indyjskie brokaty, mory.

Tkaniny wełniane albo noszą bez wystroju, albo zdobią je aksamitem, bortami lub wielkiemi guzikami.

Na wyjście są rękawy w ogóle długie, u dołu obszerne z obcisłém wiązadłem. Na uroczystsze wzięcie, mają suknie nieco krótkie rękawy, które u dołu są otwarte.

Na wieczory suknie mają gładkie staniki ze sznepką z przodu, z tyłu są długie i zaokrąglone. Powłoki tworzą małe rucho.

Pomiędzy nowemi ubiorami, które widzieliśmy, wymieniamy następujące:

Suknię hiszpańską z repsu ciemno zielonego, wpadającego w czarne z bardzo wyciętym stanikiem, w którego środku było pięć przecięć rozmaitéj wielkości, przez które widać było półkoszulcze drobno fałdowane. Dosyć krótkie rękawy miały także dwa przecięcia, przez które także przeglądały dwa ufałdowane podrękawy, zakończone wstawkami z haftowanego muślinu.

Suknię z atłasu kratkowanego na brunatném tle w niebieskie, białe i zielone kratki, zrobioną w kształt szlafroczka z małemi połami, z przodu ozdobioną trzema rzędami bufek wązkich z wstążek atłasowych, w których środku znajdował się łańcuszek z białych pasamonów. Otwarte rękawy u dołu, ubufkowana podobnie jest powłoka z przodu. Mantylla montpensierska ze sznepką z przodu i z tyłu, z falbaną na któréj się znajdowały trzy rzędy bufek.

Suknię z ciemnobrązowego aksamitu w kształcie medycejskim z gładkim w tyle stanikiem, trzema szwami z przodu i otwartą powłoką z przodu, z każdéj strony dwa szwy lekkim haftem osute.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z atłasu z piórami; mantylla atłasowa, z koronkowém oszyciem; jedwabna suknia.
2. Kapelusz jedwabny z kwiatami; szlafroczek z kitajki włoskiéj, z rozetkami i guzikami.
3. Kapelusz jedwabny zdobny piórem; suknia pekinowa z otwartym stanikiem.

Redaktor *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*